

## **Fragment książki *Hobbit albo tam i z powrotem***

### **ROZDZIAŁ 1**

#### **Nieproszeni goście**

W PEWNEJ NORZE ZIEMNEJ MIESZKAŁ SOBIE PEWIEN hobbit. Nie była to szkaradna, brudna, wilgotna nora, rojąca się od robaków i cuchnąca błotem, ani też sucha, naga, piaszczysta nora bez stołka, na którym by można usiąść, i bez dobrze zaopatrzonej spiżarni; była to nora hobbita, a to znaczy: nora z wygodami.

Miała drzwi doskonale okrągłe jak okienko okrętowe, pomalowane na zielono, z lśniącą, żółtą mosiężną klamką, sterczącą dokładnie pośrodku. Drzwi prowadziły do hallu, który miał kształt rury i wyglądał jak tunel: był to bardzo wygodny tunel, nie zadymiony, z boazerią na ścianach i chodnikiem na kafelkowej podłodze; nie brakowało tu politurowanych krzeseł ani mnóstwa wieszaków na kapelusze i płaszcze, bo hobbit bardzo lubił gości. Tunel wił się w skrętach, wił się i wił, wdrażając się głęboko, choć wcale nie prostą drogą, we wnętrze pagórka – a raczej: Pagórka, bo tak go nazywano w promieniu wielu mil – a mnóstwo okrągłych drzwiczek otwierało się to po jednej, to po drugiej jego stronie. Hobbici nie uznają schodów. Sypialnie, łazienki, piwnice, spiżarnie (mnóstwo spiżarni!), garderoby (hobbit miał kilka pokoi przeznaczonych wyłącznie na ubrania), kuchnie, jadalnie – wszystko mieściło się na tym samym piętrze, a nawet wzdłuż tego samego korytarza. Najparadniejsze pokoje znajdowały się z lewej strony (patrzac od wejścia), ponieważ tylko te miały okna, głęboko osadzone, okrągłe okna z widokiem na ogród, a dalej na łąki, zbiegające w dół ku rzece.

Ów hobbit był bardzo zamożnym hobbitem, a nazywał się Baggins. Bagginsowie żyli w okolicy Pagórka od niepamiętnych czasów i cieszyli się powszechnym szacunkiem nie tylko dlatego, że prawie wszyscy byli bogaci, lecz także dlatego, że nigdy nie miewali przygód i nie sprawiali niespodzianek: każdy z góry wiedział, co Baggins powie o tej czy innej sprawie, tak że nie potrzebował go trudzić zadawaniem pytań. W tej historii opowiemy o Bagginsie, którego spotkała przygoda i który zrobił oraz powiedział wiele rzeczy niespodziewanych. Mógł być wskutek tego utracić szacunek sąsiadów, ale zyskał... no, przekonacie się sami, czy coś zyskał w końcu.

Matką naszego hobbita... ale co to jest hobbit? Zdaje mi się, że wymaga to wyjaśnienia. W dzisiejszych czasach bowiem hobbitów bardzo rzadko można spotkać: nie ma ich wiele, a poza tym unikają Dużych Ludzi – jak nazywają nas. Hobbici są – czy może byli – małymi ludźmi, mniejszymi od krasnoludów – różnią się też od nich tym, że nie noszą brody – lecz znacznie większymi od liliputów. Nie uprawiają wcale albo prawie wcale czarów, z wyjątkiem chyba zwykłej, powszedniej sztuki, która pozwala im znikać bezszelestnie i błyskawicznie, kiedy duzi, niemądry ludzic, jak ty i ja, zabłądzą w ich pobliże, hałasując niczym słonie, tak że na mile można ich usłyszeć. Hobbici są skłonni do tycia, zwłaszcza w pasie: miewają wypięte brzuchy; ubierają się kolorowo (najchętniej zielono i żółto); nie używają obuwia, ponieważ stopy ich z przyrodzenia opatrzone są twardą podeszwą i porośnięte bujnym, ciemnym, brunatnym włosom, podobnie jak głowa (zwykle kędzierzawa); mają długie, zręczne, smagłe palce i poczciwe twarze, a śmieją się dużo, basowo i serdecznie (szczególnie po obiedzie, który – w miarę możliwości – jadają dwa razy dziennie). Teraz już wiecie o nich dość na początek. Jak więc mówiłem, matką naszego hobbita – to jest Bilba Bagginsa – była słynna Belladonna Tuk, jedna z trzech niepospolitych córek Starego Tuka,

głowy wszystkich hobbitów, mieszkających Za Wodą, czyli za rzeczką, która płynęła u stóp Pagórka. Powiadano, że dawnymi czasy ten i ów Tuk brał żonę z plemienia czarodziejów (nieżyczliwi twierdzili, że to były gobliny); rzeczywiście Tukowie zawsze mieli w sobie coś niezupełnie hobbitckiego, a od czasu do czasu zdarzało się, że ktoś z członków tego rodu wyruszał w świat szukać przygód. Taki Tuk znikał dyskretnie, a rodzina nie rozgłaszała sprawy; fakt jednak, że Tukowie nie byli tak szanowani jak Bagginsowie, chociaż niewątpliwie od nich bogatsi.

Co prawda Belladonna Tuk, odkąd została panią Bungową Baggins, nie miewała żadnych przygód. Bungo, ojciec Bilba, zbudował dla niej (częściowo za jej posag) norę tak wspaniałą, że nie znalazłoby się nic podobnego ani pod Pagórkiem, ani za Pagórkiem, ani Za Wodą, i w tej norze mieszkali małżonkowie aż do końca swoich dni. Mimo wszystko wydaje się prawdopodobne, że Bilbo, jedyny syn Belladonny, chociaż wyglądał i zachowywał się dokładnie tak, jakby był drugim wydaniem swojego solidnego i spokojnego ojca, odziedziczył po kądzieli ziarenko dziwactwa i że to ziarenko czekało tylko na okazję, by zakiełkować. Okazja jednak się nie nadarzyła, aż Bilbo dorósł, skończył pięćdziesiąt lat czy coś około tego, zamieszkał w pięknej hobbitckiej norze zbudowanej przez ojca, w norze, którą wam już opisałem i – jak się zdawało – osiadł w swoim domu na dobre.

Dziwnym trafem pewnego ranka, dawno, dawno temu, w czas dla świata spokojny, gdy mniej na nim było zgiełku, a więcej zieleni, gdy hobbitci żyli liczni i szczęśliwi, a Bilbo Baggins zjadłszy śniadanie stał pod swymi drzwiami i cmił olbrzymią, długą, drewnianą fajkę, sięgającą mu prawie do kosmatych palców u nóg (porządnie wyszczotkowanych) – przechodził tamtędy Gandalf. Gandalf! Gdybyście o nim słyszeli bodaj ćwierć tego, co ja – a ja słyszałem ledwie małą cząstkę tego, co o nim mówią – już byście wiedzieli, że czeka was na pewno niezwykła historia. Gdziekolwiek bowiem zjawił się Gandalf, opowieści i przygody jakby cudem wyrastały dokoła niego. Nie przechodził drogą pod Pagórkiem od bardzo dawna, a mianowicie od śmierci swego przyjaciela, Starego Tuka, toteż hobbitci niemal zapomnieli, jak wygląda. Małe hobbity i hobbitki zdążyły podorastać przez czas, gdy Gandalf bawił w sobie wiadomych sprawach daleko za Pagórkiem i po drugiej stronie Wody.

Nic więc nie podejrzewał Bilbo, gdy owego ranka zobaczył małego staruszka w wysokim, spiczastym, niebieskim kapeluszu, w długim szarym płaszczu przepasanym srebrną szarfą, z długą siwą brodą, sięgającą poniżej pasa, obutego w ogromne czarne buty.

– Dzień dobry – powiedział Bilbo i powiedział to z całym przekonaniem, bo słońce świeciło, a trawa zieleniła się pięknie. Gandalf jednak spojrzał na niego spod bujnych, krzaczastych brwi, które sterczały aż poza szerokie rondo kapelusza.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał. – Czy życzysz mi dobrego dnia, czy oznajmiasz, że dzień jest dobry, niezależnie od tego, co ja o nim myślę; czy sam dobrze się tego ranka czujesz, czy może uważasz, że dzisiaj należy być dobrym?

– Wszystko naraz – rzekł Bilbo. – A na dodatek, że w taki piękny dzień dobrze jest wypalić fajkę na świeżym powietrzu. Jeżeli masz przy sobie fajkę, siądź przy mnie, poczęstuję cię moim tytoniem. Nie ma co się śpieszyć, cały dzień przed nami. – To rzekłszy Bilbo siadł na ławce obok swych drzwi, założył nogę na nogę i dmuchnął pięknym, siwym kółkiem dymu, które nie tracąc kształtu pożeglowało w powietrzu aż nad szczyt Pagórka.

– Bardzo ładnie – powiedział Gandalf. – Ale nie mam dziś czasu na puszczenie kółek z dymu. Szukam kogoś, kto by zechciał wziąć udział w przygodzie, to znaczy w wyprawie, którą właśnie przygotowuję; bardzo trudno kogoś takiego znaleźć.

– Ja myślę, że trudno! W naszych stronach! My tu jesteśmy naród prosty i spokojny, nie potrzeba nam przygód. Przygody! To znaczy: nieprzyjemności, zburzony spokój, brak wygód. Przez takie rzeczy można się spóźnić na obiad. Nie pojmuję, co się w tym komuś może podobać – rzekł nasz pan Baggins, zatknął wielki palec lewej ręki za wycięcie kamizelki pod pachą i wypuścił drugi z kolei, jeszcze większy pierścionek dymu. Potem sięgnął po ranną pocztę i zaczął czytać listy, udając, że nie zwraca wcale uwagi na staruszka. Doszedł do wniosku, że nie jest to odpowiednie dla niego towarzystwo, i chciał się go co prędzej pozbyć. Ale Gandalf nie ruszył się z miejsca. Stał oparty na lasce i nic nie mówiąc przyglądał się hobbitowi, aż w końcu Bilbo zmieszał się, a nawet trochę rozgniewał.

– Dzień dobry – powiedział wreszcie. – Nie życzymy sobie tutaj żadnych przygód, dziękujemy pięknie. Spróbuj za Pagórkami albo po drugiej stronie Wody.

Miało to znaczyć, że uważa rozmowę za skończoną.

– Jakże wiele różnych znaczeń ma w twoich ustach „dzień dobry”! – rzekł Gandalf. – Tym razem chciałeś przez to powiedzieć, że masz mnie dość i że dzień nie będzie naprawdę dobry, póki stąd nie odejdę.

– Ależ co znowu, co znowu, drogi panie?! Proszę cię, wybacz, bo coś mi się zdaje, że nie znam twojego nazwiska.

– Tak, tak, mój drogi, ale ja znam twoje nazwisko, panie Bilbo Baggins. Ty także znasz moje, chociaż zapomniałeś, jak wygląda ten, kto je nosi. Jestem Gandalf. Gandalf to ja. Nie do wiary, że doczekałem, by mnie syn Belladonny Tuk częstował swoim „dzień dobrym” jak wędrownego kramarza, co handluje guzikami.

– Gandalf! Gandalf! Wielkie nieba! Czyżby ten sam wędrowny czarodziej, który Staremu Tukowi podarował magiczne brylantowe spinki, co to same się zapinały, a odpinały tylko na rozkaz? Ten, co podczas przyjęć opowiadał takie cudowne historie o smokach, goblinach i wielkoludach, o ratowaniu księżniczek i o niespodziewanym szczęściu wdowich synów? Ten Gandalf może, który puszczał takie nadzwyczajne, wspaniałe ognie sztuczne? Pamiętam je! Stary Tuk bawił nas nimi w noc sobótkową. Cudowne! Strzelały w górę jak olbrzymie ogniste lilie, lwie pyszczki i złoty deszcz i wisiały w półmroku na niebie przez cały wieczór. – Zauważyliście już z pewnością, że pan Baggins nie był wcale tak prozaicznym hobbitem, za jakiego chciał uchodzić, i że bardzo lubił kwiaty. – A niechże cię! – ciągnął dalej. – Czyżby ten sam Gandalf, z którego namowy wiele spokojnych chłopców i dziewcząt ruszyło w świat po szaleńcze przygody, zaczynając od łażenia po drzewach, a kończąc na podróży na gapę statkami, pływającymi między tym a Drugim Brzegiem? Słowo daję, życie było wtedy wcale zabawą. to znaczy, chciałem powiedzieć, że w swoim czasie narobiłeś niemało zamieszania w tej okolicy. Przepraszam cię, nie miałem pojęcia, że wciąż jeszcze zajmujesz się tymi rzeczami.

– A cóż bym mógł robić innego? – odparł czarodziej. – Swoją drogą, rad jestem, że to i owo zapamiętałeś o mnie. Mam wrażenie, że moje ognie sztuczne w każdym razie mile

wspominasz, a to już budzi pewne nadzieje. Doprawdy, przez przyjaźń dla twego dziadka, Starego Tuka, i tej biednej Belladonny dam ci to, o co mnie prosiłeś.

– Wybacz, proszę. O nic nie prosiłem.

– Owszem, owszem, nawet dwukrotnie. Prosiłeś o wybaczenie. Udzielam ci go. A nawet zrobię więcej: wyślę cię na tę wyprawę, żebyś użył przygody. Będzie to bardzo zabawne dla mnie, a dla ciebie bardzo zdrowe, a w dodatku prawdopodobnie korzystne, oczywiście jeśli w ogóle wyjdiesz z tego cało.

– Przepraszam! Nie życzę sobie przygód, dziękuję ślicznie! Nie dziś. Do widzenia! Ale proszę cię, zjazz do mnie na herbatkę, kiedy ci dogadza. Czemuż by nie jutro, na przykład? Przyjdz jutro. Do widzenia. – To rzekłszy hobbit zrobił w tył zwrot, skoczył do wnętrza nory przez okrągłe, zielone drzwiczki, które zatrzasnął za sobą pośpiesznie, nie tak jednak pośpiesznie, by Gandalf mógł się poczuć dotknięty. Bądź co bądź czarodziej to czarodziej.

Po kiego licha zaprosiłem go na herbatę! – rzekł do siebie Bilbo, kierując się w stronę spiżarni. Dopiero co zjadł śniadanie, przyszło mu jednak do głowy, że kawałek... lub dwa kawałki ciasta, popite jakimś trunkiem, dobrze mu zrobią po przeżytych strachu.

Gandalf tymczasem wciąż jeszcze stał za drzwiami i śmiał się dość długo, chociaż cichutko. Po chwili podszedł bliżej i ostrzem laski wskrobał na pięknych, zielonych drzwiach frontowych hobbita jakiś dziwaczny znak. Odszedł potem, w tym samym momencie, gdy Bilbo, kończąc drugi kawałek ciasta, nabrał przeświadczenia, że bardzo sprytnie wymigał się od wszelkich przygód.

Nazajutrz prawie zapomniał o Gandalfie. Nigdy nie pamiętał zbyt dokładnie różnych rzeczy, jeśli ich nie zapisał w swoim kalendarzyku terminowym, na przykład tak: środa, herbata z Gandalfem. Poprzedniego dnia zanadto był podniecony, by o czymś takim pomyśleć.

Gdy zbliżała się pora podwieczorku, u drzwi wejściowych przenikliwie zadźwięczał dzwonek i wtedy dopiero Bilbo przypomniał sobie wszystko. Pędem pobiegł nastawić imbryk, do nakrycia dodał drugą filiżankę i talerzyk oraz parę ciastek, po czym ruszył do drzwi. Miał na końcu języka słowa: „Przepraszam, że dałem ci czekać” – kiedy nagle spostrzegł, że za drzwiami stoi wcale nie Gandalf, lecz krasnolud z błękitną brodą zatkniętą za złoty pas i z oczyma jasno błyszczącymi spod ciemnozielonego kaptura. Ledwie drzwi się uchyliły, a krasnolud już wpakował się do hallu, jak gdyby był oczekiwanym gościem.

Powiesił płaszcz z kapturem na najbliższym kołku i

– Dwalin, do usług – oświadczył, kłaniając się nisko.

– Bilbo Baggins, nawzajem – rzekł hobbit, zbyt zdumiony, by zdobyć się od razu na jakieś pytanie. Gdy milczenie, które potem zapadło, przedłużało się kłopotliwie, dodał: – Właśnie miałem się do podwieczorku; proszę cię, wejdz i napij się ze mną herbaty. – Brzmiało to może trochę oschle, Bilbo jednak miał jak najlepsze intencje. Cóż byś ty zrobił na jego miejscu, gdyby jakiś krasnolud nieproszony przyszedł do ciebie i powiesił swój płaszcz w twojej sieni, nie usprawiedliwiając się ani słowem?

Nie zabawili długo za stołem, ściśle mówiąc zaczynali dopiero po trzecim kawałku ciasta, gdy rozległ się znowu dzwonek, jeszcze głośniejszy niż poprzedni.

– Wybacz! – rzekł hobbit i pobiegł do drzwi.

„A więc jesteś nareszcie” – chciał zawołać, pewny, że tym razem ujrzy Gandalfa. Ale to nie był Gandalf. Zamiast niego ukazał się w progu bardzo stary krasnolud z białą brodą, w czerwonym kapturze; ten również skoczył skwapliwie w uchylone drzwi, jakby został zaproszony.

– Zaczynają się, jak widzę, schodzić – powiedział, spostrzegając na kołku zielony kaptur Dwalina, i powiesił w najbliższym sąsiedztwie swój, czerwony. – Balin, do usług – rzekł, kładąc rękę na piersi.

– Dziękuję – rzekł Bilbo, któremu zdumienie dech zaparło. Nie była to wcale stosowna odpowiedź, lecz słowa „zaczynają się schodzić” zrobiły na nim wstrząsające wrażenie. Lubił gości, lubił jednak znać osoby, przychodzące do jego domu, i wolał też zapraszać je z własnej chęci. Mignęła mu okropna myśl, że ciasta może nie starczyć dla wszystkich, a wówczas on, jako gospodarz – znał bowiem obowiązki gościnności i gotów był ich przestrzegać, nawet gdyby okazały się bardzo bolesne – będzie musiał obejść się smakiem.

– Proszę, wejdz i wypij filiżankę herbaty – zdołał wyjąkać, nabrawszy tchu w piersi.

– Wolałbym małe piwo, jeśli ci to nie zrobi różnicy, zacny panie – rzekł siwobrody Balin. – Nie mam wszakże nic przeciw ciastu, zwłaszcza gdyby się znalazł kawałek placka z kminkiem.

– Znajdzie się niejeden! – Bilbo sam się zdziwił, słysząc swoją szybką odpowiedź, po czym, nie wiedząc kiedy i jak, skoczył do spiżarni po dwa piękne, krągłe placki, które upiekł wczesnym popołudniem, żeby mieć co przekąsić do poduszki.

Kiedy wrócił, zastał Balina i Dwalina gawędzących przy stole jak dwaj starzy przyjaciele (rzeczywiście byli rodzonymi braćmi). Bilbo zdążył postawić przed nimi piwo i ciasto, gdy znów dzwonek zadźwięczał donośnie raz i drugi.

„Teraz to już z pewnością Gandalf” – pomyślał Bilbo i sapiąc pomknął przez tunel. Ale to nie był Gandalf, tylko dwóch krasnoludów. Obaj mieli niebieskie kaptury, srebrne pasy i złote brody, a każdy dźwigał worek z narzędziami i łopatę. Skoczyli w drzwi natychmiast, gdy je Bilbo otworzył – on wszakże już się temu wcale nie dziwił.

– Czym mogę służyć? – spytał.

– Kili, do usług – powiedział pierwszy krasnolud.

– I Fili – dodał drugi, po czym obaj ściągnęli niebieskie kaptury i ukłonili się grzecznie.

– Nawzajem, sługa wasz i waszych rodzin – odparł Bilbo, tym razem już nie zapominając o dobrym wychowaniu.

– Dwalin i Balin już tu są, jak widzę – powiedział Kili. – Dołączmy się więc do gromady.

„Gromada! – pomyślał pan Baggins. – Nie podoba mi się to wyrażenie. Doprawdy, muszę przysiąc choć na minutę, zebrać myśli i napić się czegoś”. Ledwie pociągnął jeden łyk – przycupnąwszy w kącie, podczas gdy czterech krasnoludów rozsiadło się za stołem, gadając o kopalniach i o złocie, i o kłopotach z goblinami, i o spustoszeniach dokonywanych przez smoki, i o tysiącu innych rzeczy, których Bilbo nie rozumiał i nie chciał rozumieć, ponieważ brzmiały zbyt awanturniczo – gdy: ding, dong, ling, dang – zaśpiewał dzwonek, jak gdyby jakiś mały, niegrzeczny hobbit próbował urwać sznur.

– Ktoś jest pod drzwiami – powiedział Bilbo, mrugając nerwowo.

– Czterech ktosiów, sądząc z dzwonka – rzekł Fili. – Zresztą idąc tu widzieliśmy ich daleko na drodze za nami.

Biedny mały hobbit usiadł w hallu i ukrył głowę w dłoniach, zadając sobie w duchu pytanie, co się właściwie stało i co się dalej stanie, i czy wszyscy ci goście zostaną u niego na kolacji. Ale dzwonek zadzwieczał najgłośniej, jak potrafił, więc Bilbo pobiegł do drzwi. Okazało się, że to wcale nie czterech, lecz pięciu krasnoludów. Ten piąty zdążył nadejść, gdy Bilbo marudził w hallu. Ledwie gospodarz nacisnął klamkę, a już wszyscy przybysze byli we wnętrzu jego domu i kłaniali się mówiąc „do usług” jeden przez drugiego. Dori, Nori, Ori, Oin i Gloin brzmiały ich imiona; wkrótce też pięć kapturów: dwa purpurowe, jeden szary, jeden brązowy i jeden biały – zawisło na kołkach, krasnoludy zaś, zatknawszy krzepkie dłonie za złote i srebrne pasy, ruszyły do jadalni. Zebrała się tam już spora gromada. Ten wołał o piwo, tamten o porter, ów o kawę, a wszyscy o ciastka; toteż hobbit miał przez pewien czas pełne ręce roboty.

Potężny dzban kawy właśnie grzał się na kominku, placki już zniknęły, a krasnoludy zabrały się do maślanych bułeczek – gdy nagle głośnie kołatanie dobiegło ich uszu. Nie dzwonek, lecz trach, trach! Ktoś walił laską w piękne zielone drzwi hobbita!

Bilbo puścił się korytarzem bardzo zagniewany i do cna ogłupiały. Równie fatalnej środy w życiu nie pamiętał. Otworzył drzwi znieca, tak że wszyscy runęli do środka, jeden na drugiego. Znowu krasnoludy, czwórka! A za ich plecami stał Gandalf oparty o laskę i śmiał się głośno. Wydrapał laską porządną szramę w pięknych drzwiach, a przy tej sposobności zatarł tajemniczy znak, który na nich zrobił poprzedniego ranka.

– Ostrożnie, ostrożnie! – rzekł. – Wcale to do ciebie niepodobne, mój Bilbo, żeby najpierw przetrzymywać gości na słomiance, a potem otwierać drzwi tak, jakbyś z procy strzelał. Pozwól, że ci przedstawię: oto Bifur, Bofur, Bombur, a nade wszystko – Thorin!

– Do usług! – krzyknęli Bifur, Bofur i Bombur, stając w szeregu. Powiesili na kołkach dwa kaptury żółte i jeden jasnozielony oraz czwarty: błękitny z długim srebrnym chwastem. Błękitny kaptur należał do Thorina, ogromnego, dostojnego krasnoluda; był to nie kto inny, lecz sławny Thorin Dębowa Tarcza we własnej osobie, zgoła w tym momencie nie zachwycony, że przydarzyło mu się paść plackiem w sieni Bilba, z Bifurem, Bofurem i Bomburem na grzbiecie. Na dobitkę grubas Bombur był bardzo ciężki. Thorin zachował się wyniośle i nie wspominał nic o „usługach”, lecz biedny pan Baggins tyle razy powtórzył: – Och, przepraszam! – że wreszcie dumny krasnolud mruknął: – Nie ma za co – i rozchmurzył czoło.

– Nikogo nie brakuje – rzekł Gandalf, spoglądając na trzynaście wiszących rzędem kapturów – a były to kaptury odświętne, wizytowe, odpinane od płaszczy – i na swój własny kapelusz obok nich. – Wcale wesołe zgromadzenie! Mam nadzieję, że dla maruderów zostało coś jeszcze do zjedzenia i wypicia. Co tam masz? Herbatę? Nie, dziękuję. Co do mnie, proszę o kropelkę czerwonego wina.

– Ja też – powiedział Thorin.

– I o konfitury malinowe, i o szarlotkę.

– I o paszteciki z mięsem, i o ser.

– I o gulasz wieprzowy z sałatą.

– Jeszcze ciastek, jeszcze piwa, jeszcze kawy, jeśli łaska – wołały inne krasnoludy zza drzwi jadalni.

– Bądź tak dobry i ugotuj kilka jajek! – krzyknął Gandalf w ślad za hobbitem, który już kuśtykał w stronę spiżarni. – A przy okazji przynieś na zimno kurczęta pieczone i pomidory.

„On, zdaje się, zna moją spiżarnię równie dobrze jak ja sam” – pomyślał pan Baggins, całkowicie skołowaciały; zaczynał już podejrzewać, czy najokropniejsza przygoda nie spotka go we własnym domu. Nim zmieścił na ogromnej tacy wszystkie butelki, półmiski, noże, widelce, szklanki, talerze, łyżeczki i tak dalej – oblał się potem, dostał wypieków i stracił do reszty humor.

– Tam do licha z tymi krasnalami! – powiedział głośno. – Nie mógłby to jeden z drugim ruszyć się i pomóc trochę?

I patrzcie! W drzwiach kuchni już stali Balin i Dwalin, a za nimi Fili i Kili. Nim Bilbo zdążył bodaj kichnąć, chwycili tacę i kilka małych stolików, zanieśli do sali i zmienili wszystkie nakrycia.

Na honorowym miejscu siedział Gandalf, a trzynastu krasnoludów wokół niego przy stole. Bilbo zaś, na stołeczku przy kominku, żuł biszkopt (apetyt opuścił go całkowicie) i usiłował robić dobrą minę, jakby wszystko, co się działo, było rzeczą najzwyczajszą w świecie, a wcale nie żadną przygodą. Krasnoludy jadły i jadły, gadały i gadały, a czas płynął. Wreszcie odsunęły krzesła od stołu, a Bilbo zerwał się, żeby pozbierać talerze i szklanki.

– Przypuszczam, że zechcecie wszyscy zostać na kolacji? – spytał, jak umiał najgrzeczniej, lecz bez nalegania.

– Ma się rozumieć! – odparł Thorin. – Po kolacji także. Nie uporamy się z naszymi sprawami do późna w noc, a przedtem musimy trochę użyć muzyki. Teraz sprzątajcie!

Na to dwunastu krasnoludów – ale nie Thorin, bo Thorin był zbyt dostoyny i został przy stole, rozmawiając z Gandalfem – skoczyło na równe nogi i zaczęło układać nakrycia w wysokie stosy. Nie czekając na tace, ruszyli do kuchni, a każdy niósł na jednej dłoni chwiejącą się piramidę talerzy, ukoronowaną na szczycie pustą butelką; hobbit biegł za nimi aż piszcząc ze

strachu: „błagam, uważajcie!”, „po cóż się trudzicie?!”, „ja przecież sam chętnie...” Ale krasnoludy zamiast odpowiedzieć zaśpiewały chórem:

Tłuczmy szklanki, spodki, miski,  
Niech gospodarz żyje nasz!  
A choć Bilbo płaczu bliski,  
Niechaj drzazgi lecą z flasz!

Obrus w strzępy, dzbanek mleka  
O podłogę! Trzask i huk!  
Kości wkoło porozwlekać,  
Butlę wina prask o próg!  
Buch czerepy w garnek śmiało,  
Szkło na drobny tłuczmy piach –  
A co jeszcze pozostało,  
O podłogę bęc i trach!

Baczność! Bilbo płaczu bliski,  
Zaraz usłyszycie jęk –  
Więc uwaga tam na miski!  
Trach i prask, i bęc, i brzdęk!

Oczywiście krasnoludy nic z tych okropności nie wprowadziły w czyn, wszystko w mig zostało umyte i porządnie ustawione, a przez cały czas hobbit kręcił się pośrodku kuchni, usiłując podpatrzeć, co dziwni goście robią. Potem wrócili do sali i zastali tam Thorina z nogami opartymi o kratę przed kominkiem i ćmiącego fajkę. Wydmuchiwał ogromne pierścienie z dymu, a każdy z nich leciał tam, gdzie mu Thorin kazał: kominem w górę, za stojący na parapecie kominka zegar, pod stół lub pod sufit, gdzie krążyły w kółko, w kółko; ale gdziekolwiek leciały, nie mogły umknąć przed Gandalfem, który ze swej krótkiej drewnianej fajeczki – pyk! – wypuszczał mniejsze pierścionki dymu prosto w środek Thorinowych. Potem te kółka Gandalfa zieleniały z radości, że sztuka się udała, i wracały nad głowę czarodzieja. W chmurze kolorowych pierścieni dymu wyglądała naprawdę czarodziejsko. Bilbo stał jak urzeczony – bardzo lubił kółka z dymu – i zaczerwienił się na myśl, że poprzedniego ranka taki był dumny ze swoich pierścionków, które wysyłał nad Pagórek.

– A teraz muzyka! – rzekł Thorin. – Przynieście instrumenty.

Kili i Fili skoczyli po swoje worki i wrócili każdy ze skrzypcami; Dori, Nori i Ori wydobyli spod płaszczy flety, Bombur przyniósł z hallu bęben; Bifur i Bofur także wyszli na chwilę i zjawili się z klarnetami, które pozostawili przedtem wśród lasek w sieni; Dwalin i Balin powiedzieli: – Przepraszam, zostawiłem swój instrument na ganku – na co Thorin zawołał: – Przynieście i mój przy sposobności! – Przytaszczyli więc dwie ogromne wiolonczele, większe niemal od nich samych, oraz harfę Thorina w zielonym pokrowcu. Była to piękna złota harfa, a gdy Thorin dotknął strun, natychmiast zabrzmiała muzyka tak niespodziana i słodka, że



Bilbo zapomniał o wszystkim i wyobraźnia przeniosła go daleko, w tajemnicze krainy, nad którymi świecą dziwne księżycy, daleko za Wodę, daleko od hobbitkiej norki pod Pagórkiem.

Mrok płynął do sali przez małe okienko otwarte w stoku Pagórka, płomienie na kominku migotały – był kwiecień – a krasnoludy grały wciąż, grały, a cień brody Gandalfa drżał na ścianie.

Ciemności wypełniły pokój, ogień zgasł, cienie zniknęły – a krasnoludy grały jeszcze. Nagle któryś zaczął śpiewać do wtóru melodii, potem inni przyłączyli swe głosy, niskie, przytłumione głosy krasnoludów przyzwyczajonych z dawnych czasów do śpiewania w swoich głębokich podziemnych siedzibach. A oto parę strofek z ich pieśni, chociaż naprawdę nie sposób wyobrazić jej sobie bez muzyki:

Ponad gór omglony szczyt  
Lećmy, zanim wstanie świt,  
By jaskiniom, lochom, grotom  
Czarodziejskie wydrzeć złoto!

Już krasnali działa czar;  
W ciszę młotów dźwięk się wdarł,  
Tam gdzie mrok pod skałą władnie  
I gdzie dziwy drzemią na dnie.

Dawnych elfów możny ród  
Złota tu zgromadził w bród  
I w podziemnych kuźniach młotem  
Z kruszcu miecze kował złote.

Na srebrzystych nitek pas  
Nizał błyski lśniących gwiazd,  
W złotych koron zaś obręcze  
Księżycowe wplatał tęcze.

Ponad gór omglony szczyt  
Lećmy, zanim wstanie świt,  
By jaskiniom, lochom, grotom  
Zapomniane wydrzeć złoto!

Złote harfy leżą wiek,  
Gdzie nie kopał żaden człek,  
A w nich pieśni drzemie mnogo  
Nie słyszanych przez nikogo.

Nagle sosen słyhać szum,  
Wichrów nocą zawył tłum  
I czerwonym, żywym ogniem  
Drzewa płoną jak pochodnie.

Gdzieś w dolinie bije dzwon,  
Ludzie patrzą z wszystkich stron,  
A gniew Smoka ciska gromy  
Na struchlałe, kruche domy.

Dymią góry w blasku gwiazd,  
Dla krasnali przyszedł czas.  
Po pagórkach, po urwiskach  
W księżycowych biegają błyskach.

Ponad gór omglony szczyt  
Lećmy, zanim wstanie świt,  
Żeby wydrzeć lochom, grotom  
Nasze harfy, nasze złoto!

Gdy tak śpiewali, Bilbo poczuł, że budzi się w nim miłość do pięknych rzeczy, które powstają dzięki pracy rąk, zręczności i czarom, namiętna i zazdrosna miłość, najgorętsza pożądlivość serc krasnoludzkich. Coś z dziedzictwa Tuków ocknęło się w hobbitcie, zapragnął ruszyć w świat, zobaczyć wysokie góry, usłyszeć szum sosen i potoków, zbadać głębie jaskiń, miecz nosić u boku zamiast laski. Wyrzwał przez okno. Na ciemnym niebie ponad drzewami świeciły gwiazdy. Pomyślał o klejnotach krasnoludów, błyszczących w mroku podziemi. Nagle z lasu Za Wodą wystrzelił w górę płomień – ktoś pewnie rozpalił ognisko – i hobbitowi wydało się, że to zbójce smoki spadły na jego spokojny Pagórek i chcą wszystko puścić z dymem. Wzdrygnął się i bardzo szybko stał się znów zwykłym panem Bagginsem z Bag End, pod Pagórkami.

Wstał, drżąc cały. Pół jego duszy mówiło mu, że trzeba niby to iść po lampę, a naprawdę ukryć się w piwnicy za beczkami piwa i nie wyłazić stamtąd, póki ostatni krasnolud nie opuści jego domu. Nagle spostrzegł, że muzyka i śpiew ucichły i że wszyscy goście patrzą na niego błyszczącymi w ciemności oczyma.